

II/673

We mnie jest wieczna tęsknota
A ja ją pieczę sercem moim
I łez nie ronię i krzyk trumię
Co serce rozdziera.

Ten krzyk, co boli i ciszą gładnie
Noc go otula czarną zasłoną
Ja słabną w walce z żywiołem moim
A sea przynosi spokój i ukojenie .

Matce mojej - Sybiraczce, która w czasie
drugiej wojny światowej zmarła na tułacznych
szlakach zesłania , wspomni ją te poświęcam.

Honorata Jaskiewicz

Honorata Jaskiewicz

Głogów, 1989 rok.

Urodziłam się 13 września 1930 roku w Brzezynie, województwo Stanisławów i tam do dziesiątego roku życia upłynęło moje dzieciństwo.

Rodzice - Kasimierz i Katarzyna Stefanowie - zajmowali się gospodarstwem rolnym.

Mama w posiadaniu miała trzy hektary lasu, kupionego z parcelacji. Ojciec także posiadał hektar ziemi. Część lasu wykarczowali, uzyskując ziemię urodzajną. Rodzice pobudowali dom, zabudowania gospodarcze i posadzili drzewka owocowe. Dom, jak na owe czasy, był nowoczesny: kryty blachą, z dużymi oknami i drewnianą podłogą.

W czasie budowy domu ojciec podjął dodatkową pracę. Latem pracował w mieście Stanisławowie, a zimą w lesie przy zwózce drewna.

Mama wtedy sama zajmowała się domem i uprawą ziemi. Rodzice pracowali ciężko, zapożyczyli się, a budowa domu ciągle pochłaniała ogromną sumę pieniędzy. W czasie żniw pracowali nawet nocą.

Byłyśmy dwie: siostra Karolina i ja. W Brzezynie nie było szkoły, a my byłyśmy w tym wieku, kiedy powinnyśmy rozpocząć naukę. Wtedy mój ojciec i inni rodzice podjęli starania o otwarcie szkoły. Izbę na zajęcia lekcyjne w swoim domu przeznaczyła moja ciotka. Mieszkanie dla nauczyciela przygotowali moi rodzice w naszym domu. Zorganizowano przedstawienie, z którego dochód przeznaczono na zakup sprzętów szkolnych. Odbędzie się ono w stodole, a aktorami byli nasi rodzice i młodzież. Uczestniczyli w nim wszyscy mieszkańcy wsi.

Dzięki licznym staraniom rodziców, przyjechał inspektor szkolny i po zapoznaniu się z sytuacją wydał zezwolenie na otwarcie szkoły. Dnia 1 września 1935 roku czteroklasowa szkoła podstawowa rozpoczęła nauczanie. W czasie wakacji organizowano na terenie szkoły półkolonie dla dzieci.

Dzieciństwo nasze było spokojne, pełne radości i miłości rodziców, a także poczucia bezpieczeństwa.

Rok 1939.

Ojciec otrzymał kartę mobilizacyjną i odjechał na front - wojna. W domu zapadła pustka i smutek. Bombardowanie: samoloty niemieckie przelatywały nisko nad domami, niosąc grozę i strach. Uciekaliśmy wtedy do lasu.

Pamiętam jeszcze inne tragiczne zdarzenie. Noc - koniec września. Mama położyła nas spać ubrane w płaszcze i buty. Sama co pewien czas wychodziła z domu i długo nie wracała. Wypuściła było z obory i spuściła psa z łańcucha psa.

Nie spałam, kiedy weszła i powiedziała, że musimy iść i zachowywać się cicho i spokojnie. Po omacku wyszliśmy z domu, potykając się o różne przedmioty w domu i na dworze. Potem już biegliśmy przez kartoflisko do lasu. Zaczepiłam o tęty ziemniaczane, przewróciłam się i zostałam na polu sama, bo mama w ciemności nie zauważyła, że nie ma mnie. Potem wróciła po mnie. W lesie schowała nas w stosie gałęzi, nakazując spokój. Powiedziała, że wróci po nas. Schowane pod gałęziami słyszaliśmy odgłosy przelatujących posisków i widziałyśmy jaśniejące kupy pożarów. Dochodziły do nas ludzkie krzyki. To paliły się domostwa sąsiedniej wsi. Tego spustoszenia dokonali Ukraińcy, wyrывая z snu mieszkańców próbujących uciec. Tych, którym to się nie udało czekał okrutny los. Zapano ich i zadawano w przerażający sposób śmierć: kobietom brzymano piersi, niemowlęta wbijano na pale, wydkubywano oczy.

Taki sam los mógł spotkać nas. Daleczego?

Zaczęło świtać, ucichła strzelanina. Mama wróciła i wyciągnęła nas spod gałęzi wystraszone i zesztywniało z zimna. Rano wkroczyli Rosjanie. Za kilka dni z wojny wrócił ojciec. W domu zapanała radość. Rodzice, mimo że byliśmy już w niewoli, pracowali, aby móc żyć i przetrwać. Ja z siostrą znowu zaczęłyśmy chodzić do szkoły.

Był już luty 1943 rok. Zima wyjątkowo mroźna. Śnieg zasypał drogi, do szkoły ojciec odwoził nas saniami i po lekcjach przyjeżdżał po nas. W domu w piecach paliło się przez cały dzień i noc. 10 lutego jak zwykle udaliśmy się na spoczynek. Obudził nas krzyk i stukanie do drzwi. "Odkrywaj, odkrywaj bystrej" ! Potem łomotanie i ten sam krzyk "Odkrywaj !, odkrywaj !". Obudzili domowników. Ojciec zapalił lampę, a potem otworzył drzwi. Weszło dwóch żołnierzy sowieckich, uzbrojonych w długie karabiny, krzyząc do ojca " ruki w wierch" ! Podeszli również do matki i kazali stanąć jej obok ojca. Potem dokonali rewizji. Szukali wszędzie: w pościeli, szafach, nawet w pudełku z niemi. Trwało to długo. W czasie rewizji rodzice stali w kącie i nie pozwolono się im poruszyć. Następnie odczytano rozkaz przesiedlenia i kazali się zbierać. Rodzice protestowali, wtedy pokazali karabiny. Nie zgodzili się na opuszczenie pomieszczenia, w którym byliśmy, nie pozwolili zabrać żadnego dobytku, oprócz paru rzeczy osobistych, nie pozwolili również przygotować śniadania ani zabrać żywności na drogę. Potem popychając karabinami, kazali wychodzić. Wyszliśmy z domu wśród ciemnej, mroźnej nocy, poganianymi przez uzbrojonych żołnierzy. Na dworze stały już sanie zaprzęzione w parę koni. Był wiatr, zawiato śniegiem, szczyptało w policzki i znów sypnęło śniegiem. Wepchano nas do san. Ojciec okrył nam nogi siemem i wołnica ruszył. Zaskrzytał śnieg; pędził zaszczekał, a potem wył. Wyjeżdżaliśmy z domu, z nami eskorta.

Na głównej drodze, prowadzącej do stacji kolejowej, stał już rząd sań z wysiedleńcami. Dotoczyliśmy do nich. Czekaliśmy do rana, marznąc na otwartym polu. Na stacji kolejowej załadowano nas w towarowe wagony. Było bardzo ciasno, wstawiono żelazny, okrągły piecyk i zaryglowano od zewnątrz drzwi. I tak staliśmy do wieczora. Nie mieliśmy żywności ani wody - nie pozwolono zabrać. Obsługa transportu nie dała nam jeść, ani do wagonów nie wolno było zbliżyć się ludzom z zewnątrz, którzy chcieli podać żywność. Ktoś ze współtowarzyszy wyjął chleb, połamał i podzielił. Dzieci z pragnienia lizały szron ze ścian wagonu. Wieczorem transport ruszył. Nikt nikogo nie sęgnął, nikt głośno nie płakał. Płacz i krzyk protestu zamknął się w nas. Straciliśmy wiele, ale została godność osobista.

Pociąg nabierał rozpędu. Pędził i pędził w nieznaną, stukając kołami. Było ciemno, czasem tylko małe światełko wydobywało się z rozpalonego piecyka. Mieliśmy pietrowe prycze. Siedzieliśmy jedni obok drugich, bo nawet małe okienka, które były w wagonie zamknięte deskami. Ułożyliśmy się do snu na swich tobołkach. Zasnęłam, kiedy nagle pociąg gwałtownie zaczął szarpać, manewrować. Z palącego się piecyka wypadła rura. Iskry rozsypały się po pryczy i powstał pożar szybko się rozprzestrzeniający. Powstał przeraźliwy krzyk i płacz dzieci. Nie było czym gasić pożaru, nie było wody, zaistniało zagrożenie życia. W tej samej chwili ktoś własnym ciałem rzucił się na płomień, dołączyli inni. Zaczęto gasić pożar kocami i własną odzieżą. Po jego ugaszeniu pozostał czad długo jeszcze utrzymujący się w powietrzu. Nie spaliśmy tej nocy z urządzenia i w obawie że sytuacja taka może się powtórzyć.

Przykrą dla nas sprawą było zaspawanie potrzeb biologicznych. Na środku wagonu wycięty otwór w podłodze, niczym nie osłonięty służył wszystkim. Trzeciego dnia naszej podróży z wielkim hukiem rozryglowano drzwi wagonu. Żołnierze przynieśli chleb, zupę w wiadrach i "kniplatok". I tak było codziennie do końca podróży. Posiłek dawano nam raz dziennie. W trakcie podróży trwającej miesiąc przeładowano nas do innych towarowych wagonów.

1 marca 1940 roku transport dotarł do stacji docelowej. Dano nam kufajki, walonki, watowane spodnie i czapki uszatki. Daleszą drogę przebyliśmy ciężarówkami przykrytymi planką. Jechaliśmy cały dzień przez zaśnieżony step. Temperatura powietrza była bardzo niska, wiał wiatr tworząc zaspę. Nie mogliśmy znieść tak strasznego zimna, ludzie płakali. Moja ciotka Maria Panek miała trzymiesięczne dziecko, które karmiła piersią, a pieluszki suszyła własnym ciałem.

Nie przetrwało tej podróży, zmarło na jej rękach. Wspierając matkę, trzymając ją nieżywe dziecko, które nie mogło się obronić przed śmiercią, a ona też nie mogła mu pomóc, zamknęła się w niej. Rodzicom została boleść i bezsilność wobec bezkarności.

Pod wieczór dotarliśmy do ludzkich osiedli. Były to lepianki, jak się później okazało, zamieszkałe przez Kazachów. Lepianki niskie, ledwie widoczne z ziemi, przycupnięte na gołym, zmarzniętym stepie, zawiane śniegiem i skute zrozem. Dojechaliśmy na miejsce były już wieczór. Skostniałych z zimna wysadzono nas z ciężarówki. W drewnianym baraku w ogromnej sali umieszczono dziesięć rodzin, znalazł się kąt dla nas. Takich izb było kilka. Pierwsze noce spędziliśmy na podłodze, potem dano nam drewniane prycze. Pomieszczenie było niedogrzane, w.c. i woda na dwadzieścia dworze. I tak się zaczęło nasze nowe życie w Dżetysaj, województwo Kustanaj, mieście przemysłowym, bogatym w kopalnie rud metali, złota i hutę.

Początkowo przez kilka dni żyliśmy z zapomogi. Przeznaczono dla nas sklep spożywczy, w którym można było kupić różne artykuły żywnościowe, ale pieniędzy wystarczało zaledwie na chleb i mleko. Rosjanie prosili nas, aby zrobić im zakupy. Dawali pieniądze za fatygę. Nie rozumieliśmy dlaczego tego sami nie czynią. Sprawa wyjaśniła się, gdy po kilku dniach sklep zamknięto, a nam dano kartki żywnościowe.

Ojciec skierowano do ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kopalni. Każdego dnia po pracy należało uczestniczyć w mityngu, wysłuchując odczytu na tematy polityczne. Polacy uchylali się od tego obowiązku - uciekali. Dlatego później czekano na wychodzących koło windy, których siłą zapędzano na salę. W kopalni ojciec pracował krótko. Był węższego zdrowia, a praca ponad jego siły, dlatego zachorował. Przebywał w szpitalu trzy miesiące. Mama w tym czasie urodziła dziecko - siostrę Emilę i też nie mogła pracować. Głodowaliśmy. Jedenaścioletnia siostra Karolina, zmuszona trudną sytuacją rodzinną, podjęła pracę u rosyjskich nauczycieli jako opiekunka trzymiesięcznego i dwuletniego dziecka. Na mnie spadł obowiązek robienia zakupów.

Po chleb kartkowy chodziło się za miasto aż do osiedli kazachskich, bo dla Polaków wydzielono tam sklep. Szło się przez całe miasto, albo na skróty przez rzekę, przez którą wiodła tylko wązka kładka bez poręczy. Zawsze się bałam że wpadnę do wody. Czasem rosyjskie dzieci bawiące się nad rzeką pomagały mi przechodzić. Zimą rzeka była zamrznięta, jednak też było niebezpiecznie, bo w czasie wichury wiatr porwał nawet ludzi, zamarzały oczy, a było to daleko od domów i nikt nie usłyszałby wołania o pomoc. Zdarzyło się raz, że burza zastała mnie na rzece. Położyłam się na lodzie twarzą w dół i czekałam aż minie. Przysypał mnie śnieg.

Po burzy wyczołgałam się z saszy.

Pod sklepem czekało się w kolejce godzinami zanim przywieszono chleb. Często wypychano mnie z kolejki, bo byłam mała i słaba. Niekto kupowało się w ten sam sposób, ale w innym sklepie usytuowanym w centrum miasta. I tak prawie cały dzień spędzałam w kolejkach. Zęposona, zmęczona wracałam do domu. Poza chlebem i miewiam nie było w sprzedaży innych artykułów spożywczych. Zarzało się czasem, pracowało raz w miesiącu, że sprzedawano po kilogramie maki albo cukierki i herbatę. Żyły stołówek w mieście, gdzie sprzedawano zupę po jednej porcji na osobę.

Ojca po powrocie ze szpitala zatrudniono jako cieślę. Polacy nie mieli możliwości wyboru pracy. Musieli pracować tam dokąd zostali skierowani, czyli głównie do kopalni. Zmianą pracy mógł zlecić tylko lekarz i właśnie lekarz skierował ojca na budowę. Budowali szkołę.

Zmieniono nam mieszkanie. Był to kąt w baraku w dużej izbie z dala od miasta, w której mieszkano kilka rodzin. Mieszkałiśmy tam krótko. Życie w takim dużym skupisku, jeszcze większym jak poprzednio, było bardziej uciążliwe. Ludzie chodzili do pracy na różne zmiany, w nocy palili światło, małe dzieci budziły się i płakały. Wszyscy byliśmy udręczeni i zawsze głodni, bo zarobki rodziców były niskie i chleb kartkowy nie wystarczał do zaspokojenia głodu. Jedeli ktoś ze współlokatorów zdobył dodatkowe pożywienie, chował je i zjadał w ukryciu.

Znaleziono dla naszej rodziny pustą lepiankę za miastem. Rodzice zdecydowali się że się tam przeprowadzą. I zamieszkałiśmy w tej lepiance, chociaż wszędzie było daleko, ale za to panowały spokój i cisza. Mama smilka mogła już spać i bawić się bezpiecznie. Początkowo nie mieliśmy żadnych mebli, ale ojciec przyniósł deski z budowy i zrobił stół i krzesła. Wymurował gliniany piec z paleniskiem. Paliliśmy suchym bydłącym oborkikiem, zbieranym na stepie. Mieszkałiśmy tam we czworo, bo siostra Karolina wciąż pracowała poza domem jako opiekunka dzieci. W lepiance najczęściej zostawałam ja z siostrą smilką. Moja mama chodziła po zakupy, zajmowała jej to dużo czasu, bo droga była daleka, a chodziła pieszo. Ojciec pracował, całe dni był w domu nieobecny.

Lato zbliżało się ku kulcowi. Któregoś dnia zaczął padać deszcz. Trwało to przez trzy dni, wręczcie deszczowa woda zaczęła podmywać lepiankę. Mama wyszła po zakupy do miasta i nie wróciła do domu. Powódź zerwała na razce most, unicemożliwiając jej powrót. Zostaliśmy rozdzieleni. Rodzice po jednej stronie rzeki, a ja jako dziesięcioletnia opiekunka niemowlęcia po drugiej stronie. Całą noc przesiedziałam z dzieckiem w pościeli ziębnięta i wystraszona. Rano nakarałam dziecko i znów wtuliłam się w postanie. Ściany lepianki nasiąkały wodą i kawałki gliny zaczęły opadać, więkze, coraz to więkze. Przerazona chwyciłam

dziecko i schowała się z nim pod stół. I tała się i
Ogromny kawał rozmokej gliny spadł na postanie, opuszczone przed
chwilą przez nas, a potem na stół zamarla w bezruchu. Nie wiedziałam
co mam robić, tuliłam tylko dziecko do siebie i poształam pod stołem.
Po chwili przestała spadać glina. Ktoś po południu deszcz przestał padać,
wróciła mama z ojcem. Na rzece zbudowano prowizoryczny, wiszący most
dla pieszych i dzięki temu mogli wrócić.

Rodzice wrócili do domu, a domu już nie było.

Pomógł nam kierownik budowy porodzin - Mosjanin - również zastaniec.
Przeznaczył dla nas stróżówkę na mieszkanie. Zatrudnił mamę jako nocnego
stróża. Pomieszczenie to służyło nam za mieszkanie i za miejsce, gdzie
robotnicy budowy spożywali posiłki, a gimą w czasie niskich tempera-
tur za schronienie. Była to jedna izba.

Robotnicy - przeważnie Kasachowie - suli tytoń, plując gdzie popadło:
na podłogę, o ścianach, a nawet w nas.

W sąsiedztwie budowy mieścił się Urząd NKWD. Oficer tego urzędu
nakłaniał ojca do przyjęcia obywatelstwa x rosyjskiego, postępował podobnie
w stosunku do innych Polaków. Wszyscy odmówili. Wówczas zaczęły się
szykany i aresztowania. Prześledowani ukiekali w stop, ukrywając się
w ten sposób, aby uniknąć aresztowania. Ojciec był aresztowany.

Polacy solidaryzowali się ze sobą, zbierali się na rozmowy, mimo
że było to surowo zabronione. Nie tracili nadziei, ani ducha polskości.
Marzyli o powrocie do kraju, suszyli chleb na drogi i wierzyli, że
odzyskają wolność i wrócą do rodzinnych stron - do Polski.

Czasami wieczorami utrudzeni rodzice siadali na ławce, wpoiminali
swoją dom, rodzinę, marzyli o powrocie do domu i czekali, kiedy
nadajdzie ten dzień. wtedy i ja - po cichu marzyłam o tym samym. Wiedzia-
łam nasz dom, ostojony starym dębem, pod nim stół, gdzie latem jedli-
my posiłki. W niedzielę przychodziły ciotki - siostry mamy - oraz babu-
nia i tam odpoczywały. Kochałam je bardzo. Kochałam moją babunię, która
z każdego odpustu przynosiła piernikowe serca, kolorowe cukierki, a cza-
sem zabawki. Kochałam je za to, że były. Pamiętałam wieczory, wachodzą-
ce słońce. Lubiłam opadającą rosę, kopki siana, świeży zapach żak i la-
sów, mieszających się z zapachem ogródkowej maciejki i nasturcji.
Wzdłuż drogi wjazdowej rząd strojnych blasków brzoź, a przed nim potok
z szumiącą wodą były ulubionym miejscem zabaw, szczególnie wiosną, kiedy
rozkwitały pierwsze kwiaty. Biegłyśmy zrywać pierwiosnki, samilca, niebieski
niebieski barwinek. Biegałyśmy po wodzie, a potok huczał i nidał woz-
brane wody. Często wieczorami siadywałyśmy z mamą na ganku, czekając na
powrót ojca, a kiedy słońce schowało się za horyzontem i las pociemniał,
leśne echo podawały dąby bukom, buki klonom, aś gubiło się w ciemności
nad potokiem.

Niewskaliśmy pod lasem, lubiłam ten las i znałam jego tajemnice.

To wszystko nam zabrano, wydarto w brutalny sposób, ograbiono z dzieciństwa, radości życia, uczyniono z nas nędzarzy, morząc głodem. Dlaczego ?

Tutaj dokoła rozciągał się jak morze bezkresny, goły step z lepiankami zamieszkałymi przez dziki naród Kazachów, gdzie mrozy i śniegi skuwały życie. Dzieci podobnie, jak dorośli musiały walczyć o przetrwanie.

Nadszedł 1941 rok i wybuchła wojna. Wojska niemieckie uderzyły na ZSRR. W tej sytuacji rząd ZSRR zawarł z rządem polskim w Anglii układ o wzajemnej pomocy wojennej. Przywrócono stosunki dyplomatyczne, zaczęto organizować wojsko polskie. Rząd sowiecki zobowiązał się udzielić amnestii Polakom znajdującym się w ZSRR, pozbawionych dotychczas wolności.

Ojciec zgłosił się do Armii Polskiej jako ochotnik. Po otrzymaniu zezwolenia na wyjazd odpuszciliśmy Dżetygarę dnia 1 września 1941 roku. Dołączyliśmy do transportu Polaków mającego dotrzeć do Armii gen. Andersa, a następnie do Anglii. W podróży przebywaliśmy około miesiąca, z dużymi przestojami nawet po kilka dni ~~na~~ w ~~bechnicy~~ ^{Bechnicy}. Ludzie wychodzili z wagonów, aby zdobyć pożywienie i wodę. Często zostawali, bo pociąg w tym czasie odjeżdżał bez zapowiedzi. W ten sposób rozłączono wiele rodzin.

Dojechalismy do miasta Buzuluk, gdzie część wagonów odczepiono, a reszta pojechała w dalszą drogę. Nas odstawiono na bechnicy, obiecując dostarczyć za kilka dni lokomotywę. Czekaliśmy bezskutecznie. Z peronu kazali nam się wynosić. Nie poszliśmy, bo nie mieliśmy dokąd. Wiedząc, że podtopiono nas wodą. Nad ranem nasze tobozki pływały. Noce były chłodne. Nie dosyć tego, że ludzie byli głodni, zziębnięci, wyczerpani fizycznie i psychicznie / było nas kilka tysięcy /, to jedna ^k ~~z~~ nas do reszty tą zimną wodą. O wschodzie słońca opuściliśmy peron. Znaleźliśmy wzgórze poza miastem, gdzie w słońcu suszyliśmy nasze rzeczy. Byliśmy u kresu sił, obdarci, głodni, spragnieni i zawszawieni. Kilku mężczyzn, między nimi mój ojciec, odszukali polską placówkę w Buzuluku i zwrócili się o pomoc, którą otrzymaliśmy. Przez kilka dni dawano nam jeść, nocowaliśmy wciąż na dworze, a potem podstawiono wagony i jechaliśmy w nieznaną.

Szerzyły się choroby. Ludzie umierali w wagonach, ciała ich wyrzucano na wózki kolejowe. Zapamiętałam smutny moment. Wyrzucono umarłą kobietę. Ręce jej opadły wzduż wózka, a wiatr porywał jej siwe, drugie włosy. Została tam na stacji kolejowej bez pożegnania bliskich, bez jednej rzeczy czyjejs ręki na ostatnią drogę.

Po dwóch czy trzech tygodniach dojechalismy do jakiejś stacji i kazano nam wysiadać. Podjechały drabiniaste wozы zaprzężone w wozy, którymi przemierzaliśmy później rozległy step. Nie było żadnych zabudowań, drzew, ani wody. Koła grzęzły i skrzypiały na piaszczystej drodze.

Tak przejechaliśmy pół dnia. Po południu zaczął padać deszcz i padał do wieczora. Byliśmy chorzy, brakowało nam sił, aby iść, więc leżeliśmy na wozie, moknąc. Przemokliśmy zupełnie, nasze rzeczy także. Po d wieczór dojechaliśmy do osiedli. Umieszczono nas w szkole, dano posiłek i wysuszone odzież. Tam spędziliśmy noc. Następnego dnia udaliśmy się w dalszą podróż tymi samymi wozami. Na miejsce dojechaliśmy następnego dnia. Był to kolchoz. Dookoła pola uprawne z reszką nie zebranej kukurydzy, drzewa owocowe dotąd niespotykane, pola bawełny, dużo kanałów napełnionych wodą, słońce, ciepło i resztki jesiennego zieleni. Przyszedł jakiś mężczyzna Kazach czy Uzbek zjadający tabakę i wskazał nam mieszkanie. Była to kurna chata, bez okien, mająca dwoje szerokich drzwi na wylot i otwór w suficie. Na środku izby palenisko, ściany czarne, odymione. Przyszły również kobiety przyniosły placki / podpłomyki /, suszone owoce i przyglądały się nam. Mama była już bardzo chora, ale następnego dnia wszyscy poszliśmy do pracy przy zbiorze bawełny.

Zaczęliśmy doprowadzać do porządku nasz nowy dom. Ojciec wybielił gliną ściany, zrobił okno, zamurował dziurę w suficie i postawił gliniany piec. Żywność otrzymaliśmy za kilka dni, odpoczęliśmy wreszcie od tułaczek, podróży w wagonach, doprowadziliśmy do porządku resztki naszej zdartej garderoby, odwszawiliśmy ją.

Po upływie trzech czy czterech tygodni znova kazano nam się zbierać, bo pojedziemy do Polski.

Zaczęła się kolejna podróż i kolejna tułaczka pociągami. Na początku grudnia wysadzono nas na jakiejś stacji kolejowej i tam na peronie przesiedzieliśmy dwie doby. Było bardzo dużo ludzi zawieszonych, błądzących się bez celu i jakiegokolwiek nadziei, doprowadzeni do rozpacz. Byliśmy wszyscy chorzy. Wysoka gorączka, ogólne wyczerpanie i niedożywienie.

Przyjechały po nas znów podobne wozy itak, jak poprzednio zawiozły nas zamiast do Polski - do innego kolchozu kazachskiego. Tam umieszczono naszą rodzinę w jednej izbie wraz z pięcioma samotnymi mężczyznami - Polakami. Nie byli nam przychylni. Choroba rozwijała się. Cały czas utrzymywała się wysoka gorączka - tylko ojciec był mniej chory. Po kilku dniach nastąpił obrzęk całego ciała, pojawiły się podskórne pęcherze, które pękały, pozostawiając rany. Ciało moje, jak i moich sióstr, pokryte było jedną, wielką raną. Leżeliśmy na ziemi - na suchej trawie przyniesionej z nad rzeki.

Dnia 13 grudnia 1941 roku umarła moja Mama. Pochowano ją bez trumny, owinięto w kawałek płótna i włożono w wykopany grób. Spoczęła na paszorku u podnóża rzeki. Umarła - odeszła na zawsze. Zabrała z sobą cierpienia, upokorzenia, trudy i małe radości. Zabrała z sobą marzenia, które już nie mogły się spełnić. Odeszła sama, zostawiła nas - sieroty, któraaledwie 35 lat, umarła z wycieńczenia i głodu, a przecież mogła miała prawo żyć. Na mogile nie umieszczono krzyża, ani tabliczki z imie-